

SAMOSTANOWIENIE

NR 8 ROK III KWARTALNIK POLITYCZNY III/1988

11 listopada 1988	4
Zamykanie Stoczni Gdańskiej	7
Afganistan—co dalej?	10
Armia sowiecka	13
Polacy na Wileńszczyźnie	15
Rozmowa z Edwardem Raczyńskim	20

"Nikommu złem za złe nie odpłacajcie. Starajcie się dobrze czynić wobec wszystkich ludzi. Jeżeli to jest możliwe, o ile to od was zależy, żyjcie w zgodzie ze wszystkimi ludźmi. /.../
Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj".

św. Paweł

Na święta Bożego Narodzenia i na kolejny rok, który nas zbliża do Wolnej Polski, redakcja "Samostanowienia" życzy swoim Czytelnikom wytrwałości, pogody ducha i powodzenia we wszystkich zamierzeniach.

POŚLANIE PPION
DO MARGARET THATCHER
Z OKAZJI JEJ PRZYJAZDU DO POLSKI

Szanowna Pani Premier

pragniemy poinformować, że w maju 1987 roku utworzone zostało w Warszawie Porozumienie Partii i Organizacji Niepodległościowych /PPION/, jednoczące działaczy organizacji niepodległościowych. Reprezentujemy tę część opozycji politycznej, która stawia sobie za cel odzyskanie przez Polskę niepodległości i uzyskanie dla Polaków praw obywatelskich, takich jakie są rzeczywistością kraju, którego rządem Pani kieruje.

Chcemy decydować o naszym losie, wybierać naszych przedstawicieli do parlamentu i wpływać na poczynania rządu w kierunku przyjaznej współpracy wolnych i suwerennych narodów Europy. Polsce nie wystarcza demokratyzacja i dawkowanie swobód, które komuniści mogą zawsze odebrać. Polsce potrzebna jest demokracja i wolne wybory, w których wszystkie partie i ugrupowania polityczne będą miały równe prawa w ubieganiu się o głosy wyborców, a wybierający pełną swobodę wyboru programów i kandydatów. Demokratyczny parlament wyłoni rząd, określi formę ustroju państwowego oraz zasady polityki wewnętrznej i zagranicznej.

Powyższe żądania nie są tylko wewnętrzną sprawą Polski. Są one również ważne dla losów całej Europy, która 44 lata pokoju okupiła zniewoleniem narodów żyjących na wschód od Łaby.

Wzrastające w tym miejscu Europy napięcie grozi przekształceniem w otwarty konflikt regionalny. W interesie Zachodu leży zatem taka zmiana stosunków w Europie Środkowej, dzięki której zostaną spełnione niepodległościowe aspiracje narodów ciemiężonych przez komunizm.

Niepodległa Polska rządzona przez demokratycznie wyłonione władze będzie czynnikiem stabilizacji i gwarancją bezpieczeństwa.

Z niepokojem obserwujemy spotkania przywódców państw demokratycznych z dyktatorami komunistycznymi. Pamiętamy jak ze spotkań przywódców Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych ze Stalinem narodził się haniebny układ jałtański. Nie możemy więc pozbyć się obaw teraz, gdy Pani Premier spotka się z gen. Jaruzelskim odpowiedzialnym za politykę represji stanu wojennego i szefem partii, której rządy doprowadziły Polskę do ubóstwa i cywilizacyjnego regresu, a który to gen. Jaruzelski ponownie zagroził użyciem przemocy przeciwko społeczeństwu.

Wyrażamy przekonanie, że nasze pragnienie wolności i demokracji znajdują sojusznika w Pani Premier Rządu Jej Królewskiej Mości.

Spodziewamy się też, że ewentualna pomoc gospodarcza Wielkiej Brytanii zostanie skierowana na rozwój sfery prywatnej przedsiębiorczości, a nie na umocnienie panowania komunistycznych biurokratów.

Oczekujemy też, że dojdzie do współpracy między partiami Wielkiej Brytanii, szczególnie Partią Konserwatystów, a ugrupowaniami niezależnymi w Polsce.

Życzymy Pani Premier owocnego pobytu w naszym kraju i przyczynienia się do przekreślenia podziałów w Europie.

Porozumienie Partii i Organizacji
Niepodległościowych

ORĘDZIE

PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ
NA DZIEŃ ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI 1988

70 lat mija od owego pamiętnego dnia, 11 listopada 1918 roku, kiedy spełniły się marzenia i nadzieje wielu kolejnych pokoleń i Polska po wielu zrywach powstańczych i wielu ofiarach odzyskała niepodległość i wolność. Na czele Państwa, z woli narodu, stanął Naczelnik, Józef Piłsudski, twórca Legionów, odnowiciel Polskich Sił Zbrojnych. Świécimy ten dzień w tym roku bardziej uroczystie niż co roku. Świécą go z nami liczni rodacy w Kraju, ci, dla których jest drogim dziedzictwem poprzednich pokoleń.

Okres naszej niepodległości trwał tylko 20 lat. Zmowa dwu sąsiadów, dawnych zaborców, zdusiła niepodległość Polski a następnie - sąsiednich krajów. Jej owocem stało się zniewolenie przez Sowiety dziś stanowiących blok warszawski historycznych narodów Europy Środkowo-Wschodniej i rozdarcie Europy na dwa bloki po dzień dzisiejszy.

Jednakże okres 20-lecia niepodległości mimo trudności, a nawet błędów ma dla Polski ogromne znaczenie. Stworzył on nowoczesny naród polski, o niezwykłym patriotyzmie i poczuciu zwartości. Jeszcze w początkach pierwszej wojny światowej niejedną rdzenna wieś w sercu Polski modliła się za cara i życzyła mu zwycięstwa. Przecież gorzki i bolesny wyrzut zawarty w pieśni legionowej "nie chcemy już od Was uznania, ni Waszych serc, ni Waszych łez" był odpowiedzią na obojętność Polaków. W dwadzieścia kilka lat później ta sama wieś tworzyła i wspierała Bataliony Chłopskie Armii Krajowej. Bataliony Robotnicze broniły Warszawy. Pokolenie Polski Niepodległej ze wszystkich warstw narodu, dziś dożywające późnych lat, ofiarnie i powszechnie, bez wahania, składało największą ofiarę, ofiarę życia dla Polski.

Dziś po latach widać, że ofiara ta nie była daremna. Mimo wymordowania przez obu okupantów milionów Polaków, mimo krwawego terroru wprowadzonego do zniewolonej Polski przez agentów Kremla, którego pozostałości trwają ciągle, naród polski nie dał się złamać i nie dał się zsowietyzować. Duszę narodu chroniła pamięć historyczna, chronił Kościół, chroniła wieś, chronili ludzie odważni. Dziedzicami okresu niepodległości stała się Solidarność a następnie niezależne ruchy wolnościowe, które tak skutecznie i konsekwentnie walczą o Polskę niepodległą, wolną, demokratyczną i sprawiedliwą.

W 70-tą rocznicę niepodległości Emigracja Niepodległościowa, która przechowuje ciągłość suwerennych praw Rzeczypospolitej Polskiej, która broni Sprawy Polski w wolnym świecie, łączy się z narodem w Kraju, z Solidarnością, z licznymi patriotycznymi i niezależnymi ruchami politycznymi w Kraju we wspólnej wierze, że dzięki wysiłkom Narodu, i przy sprzyjającym układzie sytuacji międzynarodowej, zakończy się sztuczny i szkodliwy podział Europy i że Polska wraz z sąsiednimi narodami odzyska należne jej miejsce w Europie i wśród narodów świata.

Kazimierz Sabbat
Prezydent Rzeczypospolitej

11 listopada 1988, Warszawa

Niezależne obchody rocznicy odzyskania niepodległości odbywają się już po raz jedenasty. Początki były skromne - w latach siedemdziesiątych kilkusetosobowe grupy szły składać wieńce przed Grobem Nieznanego Żołnierza. W czasach "Solidarności" obchody były imponujące - wielotysięczne tłumy, setki delegacji ze sztandarami, wieńcami i transparentami. Po stanie wojennym tłumy znacznie mniejsze, kilkutyśięczne, zmagaly się z przegradzającymi drogę do Grobu kordonami ZOMO. Pochód dochodził do Krakowskiego Przedmieścia i tam był rozpraszany.

Uroczystości tegoroczne przypominają najbardziej rok 1981. Gromadzi się kilkadziesiąt tysięcy osób. Las transparentów. Podniosła atmosfera. To nie tylko zasługa okrągłej siedemdziesiątej rocznicy. Przede wszystkim to wynik przyzwolenia władz. W przeciwieństwie do lat poprzednich nie widać ani śladu ZOMO na ulicach. Nieliczni milicjanci ograniczają się do kierowania ruchem. W tym roku w Warszawie władza toleruje niezależne obchody - bez stwierdzenia tego faktu informacja o sukcesie opozycji byłaby półprawdą.

W sprawie legalizacji niezależnych uroczystości toczyły się dyskusje między przedstawicielami Kościoła i władz miejskich. Dyskusje - jak widać - uwieńczone powodzeniem. Powołano Komitet Organizacyjny przygotowujący oficjalną część nieoficjalnej uroczystości. Zresztą chętnych do organizowania było wielu. Na początku obchodów przedstawiciele KPN ogłaszają, że właśnie oni są organizatorami. Enuncjacja ta wywołuje irytację u przedstawicieli Kościoła, bowiem nikt z KPN nie pofatygował się wcześniej do Katedry, aby jakiegokolwiek sprawy organizacyjne z Kościołem uzgodnić.

O godzinie 18 Katedra jest pełna. Ludzi wciąż przybywa i w krótkim czasie blokują już przejście przez Świętojańską. Uroczystości rozpoczyna prelekcja prof. Stefana Kieniewicza^x. Podczas prelekcji ciągle przybywa ludzi. Rozwijają się transparenty. Przy wylocie ze Świętojańskiej na pl. Zamkowy grupa młodzieży z KPN czai się z dwoma transparentami, żeby stworzyć czołówkę przyszłego pochodu.

Tymczasem od strony Uniwersytetu nadchodzi kilkutyśięczna manifestacja. To nowość tegoroczna - studenci z NZS przyszli na uroczys-

^x Dziwi nieco wybór osoby prelegenta, który jeszcze pięć lat temu wziął honorarium za czwarte wydanie książki "Warszawa w Powstaniu Styczniowym". Kieniewicz pisał w tej książce: "Dzisiejsza wolna Warszawa, stolica Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, spogląda z dumą na swą nieujarzmioną przeszłość. /.../ W dzisiejszych dniach, gdy naród wspólnym wysiłkiem rozbudowuje swoją socjalistyczną stolicę, niechże wspomnienie jej rewolucyjnej przeszłości stanie się dla nas wzorem i porządkiem w codziennym trudzie i walce". Zrozumiałe, że każdy grzesznik ma prawo do nawrócenia, ale po co tak od razu na ambonę?

tość w zorganizowanej formie. Zdumiewająca jest masowość NZS - organizacji, której kadry musiały się przecież od 1981 r. wymienić całkowicie.

Plac Zamkowy jest już pełen luźno stojących ludzi i grup z transparentami. Transparenty najczęściej określają przynależność organizacyjną tych, którzy je wnoszą. Najwięcej jest transparentów NZS, na drugim miejscu "Solidarność". Kilka transparentów ma KPN, widać także PPS i "Solidarność Walcząca". I my rozwijamy transparent z napisem "Samostanowienie", stylizowanym na winietę naszego pisma.

Kościół nie przewidział takiej frekwencji i nie zapewnił nagłośnienia na pl. Zamkowym. Stąd też musimy stać dwie godziny nie mając szans na uczestniczenie w Mszy św. Palacze mają wątpliwości, czy wolno palić papierosy podczas nabożeństwa, z którego i tak nic nie słychać.

Poprzedzenie Mszy św. prelekcją było chyba nienajszczęśliwszym pomysłem, bo skazało tysiące ludzi na dodatkowe stanie na zimnie i wietrze. Na szczęście prelegent skrócił swoje wystąpienie do kwadransa zamiast planowanej pół godziny, co zdeorganizowało pracę księży przygotowujących liturgię, ale dla zwykłych uczestników było raczej sympatycznym gestem.

Ruch na Świętojańskiej sygnalizuje zakończenie Mszy św. Robimy przejście przez środek placu. Idą nim delegacje z wieńcami, sztandarami i członkowie Komitetu Organizacyjnego. Organizatorzy dysponują na szczęście dwoma głośnikami, bez tego sprzętu zapanowanie nad taką masą ludzi byłoby bardzo trudne.

Za Komitetem Organizacyjnym formuje się pochód. W pierwszej chwili robi się tłok i zamęt trudny do opisanego. Niektóre delegacje bardzo pragną znaleźć się w czołówce - co skądinąd zrozumiałe - bo to splendor większy i transparenty bardziej widoczne na zdjęciach fotoreporterów. Wśród szturmujących czołówkę najbardziej widoczni są młodzieńcy KPN-owcy, widać z góry przygotowani na taką ewentualność.

Pochód się w końcu formuje i rusza Krakowskim Przedmieściem. Dopiero wtedy widać, ilu nas przyszło. Kiedy czołówka skręca na Plac Piłsudskiego, koniec pochodu dopiero wychodzi ze Świętojańskiej. Transparent "Samostanowienia" jest mniej więcej w środku tej ogromnej manifestacji.

Głównym zajęciem idącej manifestacji jest skandowanie okrzyków. Co zapałczywszy demonstranci zdzierają sobie gardła. Oprócz tradycyjnie i od lat skandowanych okrzyków na cześć "Solidarności", NZS i Lecha Wałęsy pojawiają się nowe akcenty. Najczęściej powtarza się hasło "Precz z komuną". Ma ono również bardziej radykalną wersję - "Bolszewicy do kostnicy". Komentarzem do aktualnych wydarzeń są hasła "Stocznia nasza, Lenin wasz" i oparte na pewnym skrócie myślowym: "Dzisiaj - Stocznie - jutro - my - KC". Są również hasła: "Niepodległość" i "Wolne wybory". Kiedy z "domu bez kantów" macha nam kilku młodych żołnierzy, skandujemy: "Wojsko z nami". Członkowie niektórych ugrupowań politycznych próbują skandować skróty nazw swych organizacji. Okrzyki te - z naturalnych powodów - nie zyskują masowego odzewu. Generalnie można jednak zauważyć, że swoiste "upartyjnienie" tegorocznych obchodów jest dużo wyraźniejsze, niż w poprzednich latach. Jest to zjawisko chyba pozytywne, bo przecież w warunkach demokracji to właśnie w partiach i innych strukturach politycznych ludzie organizują swoją działalność.

Wskutek masowego udziału i dużej przestrzeni, na której znajdują się demonstranci, pochód składa się z wielu części skandujących w tym samym czasie różne hasła. Konfrontując nasze relacje z przebiegiem

mi innych osób zauważyliśmy znamienne różnice. Ktoś wspominał, że obok "domu bez kantów" - siedziby instytucji wojskowych - pochód zamilki i demonstrował przy pomocy głośnego, równomiernego tupania. Z kolei nasza część pochodu wchodziła na Plac Saski śpiewając "Pierwszą Brygadę". Inni uczestnicy pochodu zwracali natomiast później uwagę, że w ogóle nie zaśpiewano "Pierwszej Brygady". Na marginesie można tu zauważyć, że obyczaj zbiorowego śpiewania pieśni jakby obumierał w naszym społeczeństwie. Oprócz hymnu i "Boże coś Polskę" jako tako wychodzą tylko niektóre pieśni śpiewane przed kościołem św. Stanisława Kostki, ale i z tym nie jest najlepiej.

Na Placu Saskim manifestanci skupiają się wokół Grobu Nieznanego Żołnierza. Po Apelu Poległych przemawiają m.in.: Seweryn Jaworski i Leszek Moczulski. Leszek Moczulski odczytuje także nadesłane z Londynu Oświadczenie Prezydenta RP Kazimierza Sabbata.

Przed Grobem Nieznanego Żołnierza powtarza się problem, o którym pisałem relacjonując Mszę w katedrze. Połowa uczestników uroczystości znalazła się poza zasięgiem głośnika i nie miała żadnych szans słyszeć wygłaszanych przemówień. Część obecnych stoi tak daleko, że nie słyszy nawet, czy ktokolwiek przemawia. Stąd kilkakrotne próby śpiewania hymnu narodowego podczas czyjegoś wystąpienia. Organizatorzy muszą w końcu wysłać człowieka z głośnikiem poza obręb zgromadzonych tłumów, żeby uciszał próby śpiewania hymnu.

Stoimy z transparentem "Samostanowienia" w takiej odległości od Grobu, że z przemówień słyhać piąte przez dziesiąte. Nie ma nawet pewności co do listy mówców. Niestety, cała centralna prasa solidarnościowa jakby zbojkotowała później stołeczne uroczystości. "Tygodnik Mazowsze" i "PWA" wolały pisać o dramatycznych wydarzeniach w Katowicach, "KOS" się tym tematem wogóle nie zainteresował, a "Wiadomości" ograniczyły się do opublikowania listu do redakcji, przedstawiającego margines wydarzeń.

W trakcie przemówień przed Grobem ludzie wyraźnie ubywa, zwłaszcza stojących dalej. Potem składanie wieńców i hymn narodowy. Zwijamy transparenty i rozchodzimy się do domów. Przy Grobie zostają jeszcze sympatycy KPN, asystujący przy ślubowaniu młodych konfederatów. Nieopodal zbiera się grupka młodzieży /około tysiąc osób/ z transparentami NZS. Najwyraźniej - upojeni sukcesem - chcą kontynuować demonstrację. Ruszają Królewską. Koło Marszałkowskiej drogę zajeżdża im ZOMO, które najwyraźniej ma rozkaz interweniować w wypadku rozszerzenia się manifestacji poza wyznaczone ramy. Przy użyciu gazów łzawiących młodzież zostaje rozproszona. Na Królewskiej kończy się więc liberalizm komunistów.

Manifestacja w Warszawie 11 listopada 1988 r. była ogromnym sukcesem opozycji. Była największym sukcesem tego typu od 1982 r. Był to również wielki sukces ugrupowań niepodległościowych, które wypadły nie gorzej od "Solidarności". Demonstracje i wiece z okazji rocznicy 11 listopada odbyły się w 22 miastach /według Serwisu Informacyjnego Solidarności nr 9 i 10/, a wzięło w nich udział co najmniej 100 tys. ludzi. ZOMO interweniowało w trzech miastach.

Obchody siedemdziesiątej rocznicy były wielkim sukcesem opozycji niepodległościowej. Miejmy nadzieję, że dobra passa nie przeminie i wiosną spotkamy się w co najmniej równie liczonym gronie na uroczystościach Trzeciego Maja.

Zamykanie Stoczni

"Który skrzywdziłeś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając
NIE BĄDŹ BEZPIECZNY!"

/fragment wiersza Cz. Miłosza
wryty na pomniku ofiar
Grudnia przed Stocznia Gdańską/

W przeddzień siedemdziesiątej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, na pryncypialnej, jak to się mówi, ulicy stolicy - Marszałkowskiej - Palec Boży był łaskaw zaingerować w dwa neony, skutkiem czego zaczęły one świetlistą literą głosić prawdę. Jeden snuł czerwone hasło: "racja B", drugi zaś lśnił gigantycznym szyldem: "KINO LONIA". Za dawnych czasów komunistycznego tabu, oba te napisy zakamuflowane były w - kolejno - szyfrach: "Restauracja BAR" i "KINO POLONIA".

Tak to czerwone sukno przeciera się, prawda wychodzi na jaw nawet tam, gdzie się jej najmniej spodziewamy, a w kraju od dziesiątków lat żywionym słowem i symbolem, wszystko się kojarzy.

Symbol to nie tylko własność narodu Polaków. Symbol to także - z braku materii - jedyna rzeczywistość materialistów marksistowsko-leninowskich: symbol "praw społecznych" zastępujących wolność, symbol "postępu i modernizacji" zastępujący gospodarkę, symbol "masowej oświaty" zastępujący kulturę. Wiadomo, jak się mają owe symbole do swoich desygnatów: oznaczają coś wręcz przeciwnego.

Walka rządu z opozycją jest także walką na symbole. Nie przypadkiem ogłaszając stan wojenny władze posłużyły się Chopinem. Nie przypadkiem znaczek Solidarności w klapie był przepustką do aresztu. Nie przypadkiem powstał zapis cenzury na "solidarycę" - czcionkę, która powstała wraz z Solidarnością i która od sierpnia 1980 roku nadaje określone znaczenie światopoglądowe każdemu napisanemu nią słowu. Nie przypadkiem też walka z nierentownymi przedsiębiorstwami, które stanowią jednak bazę i treść polskiego przemysłu, rozpoczęła się właśnie od decyzji zamknięcia Stoczni Gdańskiej imienia Lenina.

Ciekawe, że od sierpnia 1980 Stocznia Gdańska kojarzyła się Polakom - i nie tylko Polakom - ze wszystkim, tylko nie z Leninem. Oto jak symbol autentyczny wypiera symbol narzucony. I dlatego dopiero Urban musiał przypomnieć nam, że likwidacja Stoczni to nie tylko zamach na symbol Solidarności, ale i na ... inny symbol, którego jakoś nikt nie kwapi się bronić. W odpowiedzi na co, w Stoczni zawisi transparent: "STOCZNIA NASZA, LENIN WASZ".

Spójrzmy na fakty.

Kontrowersyjną decyzję rząd podjął, jak zwykle, w dniach wolnych od pracy - tak samo jak przeprowadził nokaut stanu wojennego w grudniu 1981. 2 listopada PAP donosiła, że decyzją premiera "Przedsiębiorstwo to formalnie przestaje istnieć 1 grudnia 1988 i od tej chwili

li rozpoczyna się stopniowy proces likwidacji" /dyrektor Stoczni Czesław Tołwiński uzupełnił niebawem, że "na bramie pojawi się tablica "STOCZNIA W LIKWIDACJI"/. "Premier Rakowski", czytamy dalej w komunikacie PAP-a, "pytał w Sejmie: Czy będzie na to społeczne przyzwolenie?"

Na odpowiedź doprawdy nie musiał długo czekać. Lech Wałęsa natychmiast stanął na czele wiecu protestacyjnego w zagrożonej stoczni i mówił: "jest wiele symboli w Polsce, ale ten jest największy".

Profesor Geremek: "Władze PRL, zamykając Stocznnię im. Lenina, zniszczą symbol narodowy".

Dziennik "Berliner Morgenpost": "Skoro pod nóż jako pierwsza poszła Stocznia - to znaczy, że rząd wypowiedział wojnę opozycji".

"Frankfurter Allgemeine Zeitung": "Likwidacja Stoczni rozwiewa nadzieję na porozumienie społeczne, tak nieodczwone dla reform".

Na zwołanym 3 listopada spotkaniu nowego ministra przemysłu PRL, Mieczysława Wilczka z kilkudziesięcioosobową grupą ludzi związanych z gospodarką morską, padły opinie wyłącznie krytyczne wobec decyzji o likwidacji Stoczni /przynajmniej tylko głosy krytyczne drukowała codzienna prasa/.

Prof. Lucjan Hofman, prezes ZW Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego: "... argumenty ekonomiczne przemawiające za likwidacją Stoczni Gdańskiej nie są w pełni przekonujące. /.../ Dlaczego wybrano tryb likwidacji, a nie upadłości i bankructwa? Decyzja wywołała wstrząs, zwłaszcza na Wybrzeżu".

Doc. Józef Burzyński, wicedyrektor Instytutu Gospodarczego Politechniki Gdańskiej: "Rzetelne przedstawienie efektywności jakiegos przedsiębiorstwa w Polsce jest niemożliwe, gdyż nie funkcjonują obiektywne wskaźniki tej oceny. /.../ W komunikacie o likwidacji Stoczni zawarto dużo nieścisłości, m.in. o wysokiej stalochłonności przemysłu okrętowego. Są przemysły, które zużywają więcej stali, a na cały przemysł okrętowy wystarczy pół produkcji średniej huty".

Prof. Jerzy Doerffer, Instytut Okrętowy Politechniki Gdańskiej: "... chyba za ostro, za mocno i za bardzo "wstrząsowo" postąpiono. Wskutek tego wielu ludzi poczuło się urażonych".

Willi Fandray, dyrektor Centrum Techniki Okrętowej: "... decyzję o likwidacji przemysłu stoczniowego w Europie Zachodniej podjęto przed okresem przewidywanej dekonunktury, a my to robimy przed spodziewanym okresem koniunktury".

Na zastrzeżenia te minister Wilczek odpowiedział, że decyzja jest nieodwołalna: "Potrafię zrozumieć rozgoryczenie, jakie ta decyzja mogła wywołać, ale nie możemy wylewać łez nad rozlanym mlekiem" /swoją drogą, metafora o rozlanym mleku - bardzo trafna/. Usłuchały ministra Wilczka: organizacja partyjna Stoczni Gdańskiej, rada pracownicza i związki zawodowe Miodowicza, które, nie wdając się w lamenty i sentymenty, zaczęły z miejsca ochoczo dzielić skórę na niedźwiedziu, czyli rozglądać się za miejscami pracy dla /bagatela! / 11-tysięcznej załogi piątej - co do wielkości potencjału /ponad 80 miliardów zł/ stoczni na świecie.

Już 2 listopada na terenie Stoczni działała "specjalnie zorganizowana na wielką skalę służba pośrednictwa pracy" /którą już 9 listopada zlikwidowano, bo zanadto kłuiła w oczy/. Już 3 listopada PAP donosiła: "działa punkt informacyjny zbierający propozycje zatrudnienia dla stoczniowców. W pierwszym dniu zgłoszono 1600 ofert, w tym 500 z przedsiębiorstw zagranicznych". Już 5 listopada specjalny wysłannik "Życia Warszawy" uściślał: "Administracja wojewódzka /.../ wykonując polecenie, zorganizowała np. w ciągu trzech godzin biuro po-

średnictwa pracy, z tym tylko, że oferty w tym biurze pochodziły głównie z... Miejskich Przedsiębiorstw Ochrony Zieleni".

Kiedy komunistyczne władze likwidują przedsiębiorstwo za to, że jest ono nierentowne, to zabieg ten przypomina chłostanie morza przez króla Kserksesa. Nierentowność i komunizm idą w parze i nie ma tu dylematu, co było pierwsze: nierentowne jajo, czy komunistyczna kura? Wiadomo, że kura. Dlatego niszczenie nierentownego jaja nie da nic, bo kura zniesie nowe, i to, jak nas poucza doświadczenie, w dodatku mniejsze oraz gorsze w smaku.

Zmarnotrawiwszy niemały potencjał nie ubogiego wszak kraju metodą irracjonalnego planowania i rabunkowej działalności, reżim próbuje teraz zalakować własne przestępstwa gospodarcze jak owady w bursztynie, obiecując, że na ich miejsce stworzy nowe przedsiębiorstwa, sensowne i rentowne. Są to obietnice bez pokrycia, a jeżeli ich realizacja zaczyna się od obalania symboli współczesnego społeczeństwa, to decyzję taką trudno uznać za "ekonomicznie uzasadnioną" i należy ją traktować w kategoriach wyłącznie politycznych. Takie też stanowisko zajęł w swoim liście Episkopat Polski.

To nie przedsiębiorstwa w Polsce są nierentowne: nierentowny jest system. I nie może dziwić nędza gospodarcza w sytuacji, gdy władza polityczna i ekonomiczna skupiają się w tych samych rękach, co uniemożliwia społeczeństwu sprawowanie kontroli ekonomicznej nad rządem.

Ponadto, jest oczywistą sprawą taktu, że Stocznia Gdańska powinna być ostatnim przedsiębiorstwem, które się zlikwiduje. W najgorszym - a może wcale nie najgorszym - razie można by ją - wzorem wileńskiego kościoła św. Kazimierza, który zamieniony został swego czasu na Muzeum Ateizmu - przekształcić w Muzeum Nierentowności. "Imienia Lenina" może zostać.

I .Basta

JAK SIĘ LICZY ?

Ceny statków negocjuje się zarówno dla odbiorców krajowych jak i zagranicznych w dolarach. Uzyskane kwoty przelicza się według obowiązujących wskaźników. Jeśli statek sprzedajemy np. za 10 mln dolarów odbiorcy zagranicznemu, mnożymy to przez 450 i uzyskujemy kwotę 4,5 mld zł. Identyczną kwotę uzyskujemy w przypadku sprzedania statku armatorowi polskiemu. Ale w eksporcie do ZSRR dolar = 0,61 rubla transferowego, a więc uzyskujemy 6,10 mln rubli. Następnie kwotę w rublach mnoży się przez 205 i uzyskuje cenę sprzedaży 1,2 mld zł. Prawie cztery razy mniej niż za statek sprzedany w kraju. Państwo ma z tego oczywiście korzyści, ponieważ za ruble kupujemy ropę, bawełnę, surowce niezbędne gospodarce, ale stocznia traci, toteż państwo pokrywa stratę stoczni, wynikającą ze sposobu rachowania. Bankowi stocznia im. Lenina jest winna w tej chwili 30 mld zł.

/"Horyzont" nr 21, pismo Organizacji
Solidarności Walczącej/

Afganistan—co dalej?

Podpisując układ w Genewie ze Związkiem Sowieckim, Amerykanie nie porzucili "piątego nieobecnego" tych układów - Koalicji Partyzantów Afgańskich. Układ, chociaż podpisany nad głowami mudżahidów, jest traktowany przez USA elastycznie, a zarazem zgodnie z jego literą. Genewa miała doprowadzić do powstania rządu koalicyjnego i rząd taki w czerwcu powstał - powołany przez Koalicję Partyzantów Afgańskich. Jednocześnie stosunki dyplomatyczne Stanów Zjednoczonych z reżimem kabluskim są ograniczone zaledwie do poziomu chargé d'affaires /podobnie jak w Warszawie stanu wojennego/. Natomiast Tymczasowy Rząd Afgański wystąpił o oficjalne uznanie przez ONZ - w liście premiera tego rządu, Ahmeda Szacha, do Sekretarza Generalnego ONZ z 24. IX. br. A przecież koncepcja wykonania Genewy w interpretacji Rosjan czy urzędników ONZ-etu była zupełnie inna! Według nich układ miał doprowadzić do pacyfikacji i neutralizacji kraju poprzez oparcie władzy na tradycyjnych strukturach plemiennych, powołania rządu koalicyjnego złożonego z przywódców tzw. frakcji umiarkowanej wśród partyzantów, starszyny szczepowej i związanych z komunistami ludzi o w miarę czystych rękach. Linia to bardzo wyraźna, od zignorowania peszawarskiej siódemki podczas rokowań, po próbę politycznego wymanewrowania mudżahidów i ostatnie deklaracje premiera reżimu kabluskiego Szarka o gotowości wyjazdu do mieszkającego we Włoszech obalonego w 1973 r. monarchy Zahir Szacha. Restauracja królestwa przez komunistów, a przynajmniej odegranie ważnej roli przez Zahir Szacha przy odbudowie suwerennego państwa afgańskiego, byłoby w koncepcji Cordoveza i innych przedstawicieli ONZ drogą do zneutralizowania Afganistanu. Byłaby to atrakcyjna koncepcja dla żywiołów obawiających się silnego, scentralizowanego państwa, takich jak przywódca plemion pusztuńskich, przywódca mniejszości szyickiej oraz posiadający własne ambicje lokalni dowódcy partyzantki.

Ta wizja administracji ONZ-etowskiej była wizją i Rosjan, którzy w przywróceniu status quo ante upatrują możliwość najbardziej honorowego wycofania się z błędnej interwencji w sąsiednim kraju. Jaka zaś była wizja amerykańska czy pakistańska? Selig Harrison z Carnegie Endowment for International Peace w rozważaniach opublikowanych 14. XI. br. w "International Herald Tribune" twierdzi, że interes Pakistanu to takie poparcie mudżahidów, by zdołali militarnie rozstrzygnąć sytuację na swoją korzyść. Poparcie amerykańskie w uzbrojeniu i posunięciach dyplomatycznych wskazuje, że są to również aktualne cele amerykańskie /według Harrisona nie służące interesom USA, bowiem przedłużające stacjonowanie wojsk sowieckich w Afganistanie/. Prezydenci Zia ul Haq i Ronald Reagan wspierając "sojusz siedmiu", dążąc do wzrostu roli koalicji partyzanckiej, oczekiwali na zdobycie któregoś z poważniejszych ośrodków miejskich i przeniesienie tam afgańskiego Rządu Tymczasowego Ahmed Szacha. Ale Moskwa zdecydowanie broni wielkich miast wysyłając nawet z powrotem do Kandaharu czy Dżalalabadu wycofane uprzednio z fanfarami oddziały sowieckie. Ta motywacja i aktywność

partyzantów są zapewne przyczyną zakomunikowanej 4 listopada decyzji o czasowym wstrzymaniu wycofywania oddziałów sowieckich. Także armia reżimowa wyposażona jest w nowe rodzaje broni, w tym rakiety dalekiego zasięgu typu SS-1 SCUD, które mogą sięgnąć zarówno baz raketowych partyzantów jak i celów na terenie Pakistanu. W tej sytuacji Waszyngton ma rozważyć możliwość dostarczenia broni, która byłaby przeciwwagą dla nowych typów uzbrojenia armii reżimowej.

Selig Harrison docenia rolę peszawarskiego sojuszu kontrolowanego, jak podkreśla, przez fundamentalistów, w stabilizacji układu wewnątrz obozu antysowieckiego. Trudno nazwać ten sojusz sztucznym, jak chce Harrison, gdyż najwyraźniej wypracował swoje metody osiągnięcia kompromisu, uzgadniania, rotacyjnej zmiany przywództwa. /Wtrąćmy, że istniejące w Polsce Porozumienie Partii i Organizacji Niepodległościowych, analogiczne trochę do sojuszu peszawarskiego, skupiające początkowo pięć bardzo odmiennych organizacji, w ciągu prawie dwuletniego istnienia podobnie wypracowało mechanizmy uzgadniania wspólnych działań/. Rozbicie lub poważne osłabienie sojuszu może doprowadzić dopiero do wytworzenia się korzystnego dla rozwiązania "ONZ-etowskiego" przegrupowania sił. Administracja republikańska prezydenta Reagana gra na wzrost znaczenia sojuszu, dlatego groźba ta jest coraz mniej realna. Sukces zdobywania kolejnych stolic prowincji /dotąd około sześciu/ wzmocniony został przez wyznaczenie dyplomaty Edmunda McWilliamsa specjalnym wysłannikiem ds. kontaktu z afgańskim ruchem oporu /26.IX/ i przyjęcie przywódców powstań afgańskiego z kolejnym szefem Koalicji, profesorem Rabbanim, przez prezydenta USA Ronald Reagana /9.XI/. Sytuacja rozwija się więc w kierunku uznania Tymczasowego Rządu Afganistanu, skoro tylko zainstaluje się w Kandaharze lub Dżalalabadzie. Rozumieją to i Sowieci, którzy podjęli w końcu, po kategorycznej odmowie partyzantów rozmawiania z reżimem kolaboracyjnym /nawet w Mekce, jak sugerował Szark/, rozmowy bezpośrednio z Koalicją, co zaistniało 27.XI.br. Pierwsze kontakty miały miejsce w gmachu MSZ-etu pakistańskiego w Islamabadzie i na pewno nie dotyczyły wyłącznie kwestii 300 jeńców. W chwili zamykania numeru toczą się w Arabii Saudyjskiej rozmowy delegacji partyzantów pod przewodnictwem B.Rabbaniego z sowiecką ekipą Woroncowa.

xxx

Jakim rozwojem sytuacji w Afganistanie powinni być zainteresowani Polacy ze względów strategicznych? Wszak jest to kraj sąsiadujący z ZSSR. Okupacja Afganistanu przez Związek Sowiecki spowodowała wspólnotę interesów Polski i Pakistanu. Koncepcja nieżyjącego już gen. Zia ul Haqa ustanowienia w Kabulu rządu islamskiego o dobrych stosunkach z Pakistanem zakładała dodatkowo wzrost roli niepuszkańskich grup etnicznych. Pusztunowie dążą tradycyjnie do odbudowy Wielkiego Afganistanu kosztem prowincji północno-zachodniej Pakistanu zamieszkałej przez ich współplemieńców, co spycha ich ku polityce oparcia o Indie i ZSSR. Dodatkowym aspektem wzrostu roli ludności niepuszkańskiej jest większe zainteresowanie sprawami etnicznych jej współplemieńców w ZSSR: Tadżyków, Uzbeków i innych. Propakistański Afganistan mógłby wejść w koalicję czterech państw islamskich - od Turcji /sojusznik USA w NATO/ poprzez Iran, Afganistan i wspierany militarnie przez Stany Zjednoczone Pakistan. Z takimi propozycjami występuje dyplomacja pakistańska również po śmierci generała ul Haqa. Wizja ta wydaje się dużo korzystniejsza dla Polski niż podatny na powtórny interwencję sowiecką plemiennie-monarchistyczny Afganistan według koncepcji ONZ-etowskiej. Rozpad Pakistanu w razie zaangażowania się ZSSR w tym

rejonie i utworzenie baz sowieckich nad Oceanem Indyjskim byłby groźnym rozwinięciem potęgi ZSSR w skali światowej. Natomiast koncepcja pakistańska stwarza nadzieję przeniesienia "zarazy" fundamentalizmu muzułmańskiego na miękkie, azjatyckie podbrzusze sowieckiego krokodyla.

Ze względu na możliwość kontaktów dyplomatycznych czy półdyplomatycznych uchodźczego Rządu RP jedynie z Tymczasowym Rządem Afganistanu również korzystne byłoby rozwiązanie propakistańskie. Kroki w tym kierunku mogą być różne - od wysłania obserwatora do Afganistanu /zgodnie z apelem Adama Winklera - oczekiwać należałoby, że Rząd sfinansuje to przedsięwzięcie! / po wznowieniu projektu Legionu, złożonego z dezertów pochodzących z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej, w przypadku przeciągnięcia się okupacji. Czas dla aktywności Rządu RP w sprawie afgańskiej obecnie jest jak najbardziej odpowiedni, kiedy Tymczasowy Rząd Afganistanu nie jest jeszcze skrępowany stosunkami dyplomatycznymi z mocarstwami. Sugerować można by kontakty między emigracyjnymi parlamentami Rzeczypospolitej Polskiej - Radą Narodową RP i afgańską Radą Najwyższą wyłonioną w wiosennych wyborach z udziałem milionowych rzesz uchodźców w Pakistanie. Dla Afgańczyków kontakty z Rządem RP, poza względem solidarnościowym, mogą być interesujące z uwagi na duże wpływy Polaków w USA. Aparat polskiego rządu emigracyjnego mógłby odegrać tu znaczną rolę, wywierając poprzez organizacje polonijne i bezpośrednio przez Delegatów Rządu RP wpływ na wybór opcji propakistańskiej.

xxx

Polityka amerykańska nie jest określona raz na zawsze. Prezydent -elekt obejmie rządy dopiero w lutym. Do tego czasu określona zostanie polityka nowego rządu pakistańskiego, co wywrze zasadniczy wpływ na decyzję George'a Busha. Po zdobyciu 40% głosów wyborców w Pakistanie przez panią Benazir Bhutto otrzymała ona 2.XII misję sformowania gabinetu i już 4.XII powołała nowy rząd, w którym zachowało swoje teki sześciu ministrów rządu poprzedniego, w tym minister spraw zagranicznych.

Afgańska wojna z komunizmem rozpoczęła się już za czasów Zia ul Haqa. Stosunek generała do tej wojny, zagraniczną politykę Pakistanu, uważamy za optymalne. Dotyczy to oczywiście wyłącznie polityki zagranicznej a nie wewnętrznej, której ocenić kompetentnie nie możemy, chociaż zauważalna była w środkach przekazu Europy i Ameryki poprawa opinii nt. generała po zajęciu przez Pakistan twardej postawy wobec agresji sowieckiej i przyjęciu milionów uchodźców.

Gorbaczow wysłał do Kabulu doświadczonego dyplomatę Jurija Woroncowa. Jest to główny negocjator sowiecki, który przy okazji nominacji na ambasadora w połowie października zatrzymał stanowisko I wiceministra spraw zagranicznych, co jest ewenementem i co było warunkiem kontaktów z partyzantami. Rozmowy rozpoczęły się. Można założyć, że będzie negocjowane /tu rola dla Woroncowa/ zawarcie odrębnego, dwustronnego układu z mudżahidami. W wypadku powodzenia militarnego partyzantki i stabilizacji polityki zagranicznej Pakistanu - nawet na warunkach mudżahidów! Teza może zaskakująca, ale w przeszłości sprawdzona. Bolszewicy już w lipcu roku 1920 woleli rozmawiać z Polską bez pośrednictwa wspomagających nas Francuzów i Anglików. Czyż może zależeć Sowietom na islamskim rządzie zależnym od mocarstwa regionalnego - Pakistanu, czy nie lepszy byłoby dla Moskwy niezależny, islamski nawet, rząd Afganistanu zepchniętego w izolacjonizm? Jedno jest pewne - jeśli Rosjanie mogą wybrać, to wybiorą Afganistan o tradycyjnej strukturze plemiennej, a nie zmodernizowanego przez dżihad - świętą wojnę islamu.

Przebudowa czy rozbudowa?

"Żal mi zachodnich
bankierów".

A. Rosiewicz

W momencie krytycznej sytuacji polityczno-gospodarczej Lenin obwieścił początek NEP-u /1921/. Był to również początek największej akcji dezinformacyjnej jaką znały dzieje. Jej podstawą było wmówienie Zachodowi, że Związek Sowiecki ewoluuje, powoli przekształca się w... kapitalizm, staje się państwem "normalnym", a każda interwencja z zewnątrz spowodować może konsolidację narodu wokół "reżimu". Zachód zrozumiał i zgodnie ze swoją naczelną wobec komunizmu zasadą "wishful thinking" poszedł na współpracę.

NEP został przez Stalina oficjalnie zakończony w 1929 r., gdy podstawa przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego zbudowana w latach dwudziestych dzięki pomocy amerykańskiej, brytyjskiej, czechosłowackiej i niemieckiej /po traktacie w Rapallo w 1922 r./ pozwoliła przejść do "socjalistycznej ofensywy na wszystkich frontach".

Kilkadziesiąt lat później, w podobnej sytuacji polityczno-gospodarczej, wierny kontynuator leninowskiej tradycji ogłosił przystąpienie do "pierestrojki". Tylko dwa lata potrzebne mu były, aby spowodować zasadnicze zmiany w opinii amerykańskiego społeczeństwa i stać się najbardziej wiarygodnym politykiem w RFN. Zapanował okres nowego odprężenia w stosunkach Wschód-Zachód.

xxx

17 października br. sekretarz generalny NATO Manfred Woerner na konferencji prasowej w Danii powiedział m.in.: "oczywistym priorytetem dla NATO jest pozbycie się istniejącej nierównowagi w broni konwencjonalnej z blokiem wschodnim. Nierównowaga między obu blokami w tej broni ma większe znaczenie w kwestii zapobiegania nowej wojnie niż broń nuklearna". I dalej "jeśli w Europie występuje brak stabilizacji politycznej i militarnej to nie dzieje się tak z powodu broni nuklearnej, ale z powodu możliwości Układu Warszawskiego do dokonywania konwencjonalnych operacji wojskowych na dużą skalę".

xxx

18 października br. ukazał się doroczny raport londyńskiego Instytutu Badań Strategicznych poświęcony stosunkom polityczno-militarnym w okresie 12 miesięcy od czasu ukazania się poprzedniego raportu.

Za najważniejsze wydarzenie ubiegłego roku autorzy raportu uznali podpisanie i ratyfikowanie układu INF. Zgodni są także, co do istnienia przybliżonej równowagi w nuklearnych siłach strategicznych USA i Związku Sowieckiego /mimo braku równowagi w jądrowych broniach krótkiego zasięgu - 80 przestarzałych rakiet Lance po stronie NATO, wobec kilkakrotnie większej ich liczby po stronie sowieckiej/. Wyraźne zna-

miona "pierestrojki" są natomiast widoczne tam gdzie mowa o modernizacji i rozwoju broni konwencjonalnej.

Sowieckie wojska lądowe otrzymały 3-krotnie więcej bojowych środków o charakterze wybitnie ofensywnym /czołgi T-64b, T-72, T-80, transportery opancerzone, ciężka artyleria kalibru 203 i 240 mm/ niż armia amerykańska /750 czołgów A-1, 750 transporterów opancerzonych/. Wojska lotnicze dostały 500 pocisków ziemia-powietrze, 500 myśliwców /głównie Mig-23/, 200 myśliwców atakujących cele naziemne Su-17 oraz 150 najnowocześniejszych myśliwców Mig-29, natomiast lotnictwo amerykańskie 39 myśliwców F-15, 165 myśliwców F-16 i 16 Semdobów transportowych C-56.

Raport wyraża opinię, że w ogólnych stosunkach Wschód-Zachód nastąpił postęp.

xxx

W drugiej połowie października kierownictwo Deutsche Bank parafowało dokument, na mocy którego banki niemieckie udzielią Związkowi Radzieckiemu kredytu w wysokości 3 mld marek. Nie pozostając w tyle, analogiczne instytucje we Włoszech, Francji i Anglii postawiły do dyspozycji Związku Sowieckiego dalszych 7 mld marek.

25 listopada br. ukazała się publikacja NATO "Siły konwencjonalne w Europie: fakty". Uwzględnia ona obszar od "Atlantyku po Ural" i dotyczy stosunku sił między 16 państwami NATO i 7 państwami Układu Warszawskiego. Wykaz sił NATO obejmuje potencjały wojskowe Francji i Hiszpanii, co jest nowym elementem w porównaniu do ostatniego zestawienia z 1984 r.

Stosunek sił konwencjonalnych w Europie wg publikacji:

	NATO	Układ Warszawski
Czołgi	16.424	51.500
Transportery opancerzone	4.153	22.400
Inne pojazdy opancerzone	35.351	71.000
Artyleria	14.458	43.400
Broń przeciwpancerna	18.240	44.200
Śmigłowce	2.419	3.700
Systemy obrony przeciwlotniczej	10.309	24.400
Pojazdy opancerzone do stawiania mostów	454	2.550
Samoloty bojowe	3.997	8.250
Stan osobowy	2.213.593	3.090.000

Jak widzimy, Układ Warszawski dysponuje zdecydowaną przewagą nad NATO we wszystkich podstawowych składnikach uzbrojenia sił lądowych i lotnictwa oraz w stanie osobowym. Zestawienie to nie uwzględnia sił morskich /w których NATO ma przewagę/ ze względu na to, że mogą być wszędzie, co sprawia, że wszelkie liczby dotyczące okrętów stacjonujących w danym rejonie byłyby sztuczne.

Stosunek sił wskazuje na to, że Układ Warszawski ma wszelkie możliwości na przeprowadzenie ataku z zaskoczenia i ofensywy na wielką skalę. NATO takich możliwości nie posiada z braku środków.

Związek Sowiecki, nie zmniejszając swoich wydatków na zbrojenia /15-17% Produktu Narodowego Brutto/, ciągle modernizuje i wzmacnia swoje siły konwencjonalne. Pierestrojka trwa.

Dla przyszłości Polaków wileńskich

Powstałemu w maju tego roku Stowarzyszeniu Społeczno-Kulturalnemu Polaków na Litwie wróżę niełatwą przyszłość. Niekoniecznie dlatego, że dla jego ukonstytuowania zaangażować trzeba było energię prawie całej szczupłutkiej polskiej inteligencji miejscowej, pragnącej służyć potrzebom trzystu tysięcy rodaków. Przede wszystkim mam na myśli perspektywy nieuniknionego kursu pomiędzy Scyllą płynących z Moskwy pokus "pierestrojki" a Charybdą eksplodującego właśnie litewskiego nacjonalizmu.

Trudno jeszcze o analizę istoty tego, czym jest "Sajudis", czyli "Litewski Ruch na Rzecz Przebudowy". Pewne analogie z polską "Solidarnością" mogą okazać się bardzo mylące, a błyskawiczny rozwój wydarzeń na Litwie nie sprzyja formułowaniu ogólnych ocen. Po burzliwej wiosnie i gorącym, pamiętnym wielotycznymi manifestacjami lecie przeżyło Wilno przełomowe dni października, w których zmiana na stanowisku republikańskiego sekretarza kompartii zbiegła się ze zjazdem "Sajudisu" i z nagłą wiadomością o przywróceniu wierzącym katedry i kościoła św. Kazimierza, ogłoszoną bezpośrednio po powrocie z Rzymu biskupa Stepanoviciusa. Ten sędziwy dziś administrator apostołski nadwilejskiego grodu wizytę "ad limina" odbył po długoletnim okresie internowania poza granicami swojej diecezji. Msza przed frontonem katedralnej bazyliki św. Stanisława, transmitowana przez litewską telewizję nie wywołała nad Wisłą szerszego oddźwięku wyłącznie z powodu szybkiego tempa omawianych tu wydarzeń: tego samego dnia zakończyły się obrady ogólnolitewskiego zjazdu delegatów "Ruchu". Toczyły się one w wileńskiej hali sportowej i tu analogia do gdańskiej "Oliwii" jest trafna.

Wszystkie te wydarzenia ostatnich miesięcy odmieniły społeczeństwo litewskie. Gdy na wieży wileńskiego zamku Gedymina załopotala trójkolorowa narodowa flaga, w kraju od dawna już wrzała dyskusja nad pozycją języka litewskiego w republice. Litwini domagają się nadania mu statusu "języka państwowego" /czyli urzędowego/, widząc w owym akcie rodzaj zadekretowania hegemonii rdzennej większości mieszkańców Litewskiej SSR. Jak z reguły w takich sytuacjach bywa opinia publiczna daje przy okazji wyraz tłumionym do niedawna odruchom nacjonalistycznym, a hasła "Lietuva Lietuvians" /"Litwa dla Litwinów"/ zyskało sobie ostatnio olbrzymią popularność. Nie mówiący po litewsku poczułi się niepewnie, szczególnie w Wilnie, wielonarodowej stolicy LSSR. Tamtejsi Polacy, zaniepokojeni litewskimi postulatami językowymi - rozumianymi jako zagrożenie dla miejscowej polszczyzny - z właściwym sobie wyczuleniem odbierają wszelkie uliczne "pyskówki" na tle narodowym. To wszystko pogarsza klimat współżycia i powoduje, łagodnie mówiąc, dystans wobec spontanicznej aktywności litewskich sąsiadów. W sierpniu doszło, co prawda, do spotkania w którym uczestniczyli aktywiści "Sajudisu" i przedstawiciele wileńskich Polaków, nie dało ono jednak żadnych realnych wyników. Jesień przyniosła za to nowe zadrażnienia, związane z prowokacyjnymi antypolskimi afiszami /niekoniecznie malowanymi ręką litewską, jak twierdzą miejscowi/ oraz

stanowiskiem "Sajudisu", blokującym zarówno inicjatywę powołania w Wilnie konsulatu PRL jak i plany erygowania na tamtejszym uniwersytecie wydziału polonistyki. Polacy litewscy, od dziesięcioleci oskarżani przez Litwinów o torowanie szlaku rusyfikacji, spychani są obecnie do sztyku obronnego, w którym spotykają się z Rosjanami, Białorusinami, Ukraińcami i Żydami.

Proletariusze podnoszą głowy

Dwunastoosobowy zarząd Stowarzyszenia Polaków to głównie dziennikarze, skupieni w redakcjach "Czerwonego Sztandaru" oraz polskiego programu litewskiego radia. Są tu ludzie miodzi, pełni energii i własnej inicjatywy. Stoją przed olbrzymimi zadaniami - począwszy od batalii o polskie przedszkola, a kończąc na akcji ratowania cmentarzy. Prawie nic jeszcze nie wiemy o postępach organizacyjnych w terenie - polskich wioskach, zaściankach i miasteczkach, rozpiętych pomiędzy Ejszyszkami a Turmontem - dopiero całkiem niedawno Stowarzyszenie uzyskało rejestrację, a wraz z nią możliwość już szerszego działania.

Niewielu jest jednak, jak wspominałem, robotników do polskiego żniwa. Według oficjalnych statystyk sprzed dziewięciu lat, społeczność polska na Litwie charakteryzuje się najniższym odsetkiem osób z wyższym wykształceniem /3,2% wśród pracujących; dla porównania analogiczne odsetki dla populacji litewskiej i rosyjskiej: 9,4% i 13,2%/. W Wilnie lekarzem, urzędnikiem, czy pracownikiem naukowym jest z reguły Litwin albo Rosjanin; Polaków natomiast spotyka się najczęściej wśród robotników, zaś azyłem "drobnomieszczaństwa" stały się tu kioski z gazetami. Miejscowy Polak, chcąc zapewnić synowi czy córce możliwość wstępu na wyższe studia, posyła dziecko z reguły do szkoły rosyjskiej, pomimo istnienia sieci polskich, przynajmniej de nominie, szkół podstawowych i średnich. Przez okres dwóch pokoleń /począwszy od masowego wyjazdu z Wilna polskiej inteligencji, znikniętej kilkakrotnie zmieniającą się okupacją i rozczarowanej tragicznym finałem powstańczego zrywu okręgu wileńskiego AK z lipca 1944 r./ pozostali tu Polacy nie znali rodzimej książki, nie uczyli się własnej historii. Jeśli pominąć istniejące od lat sześćdziesiątych zespoły pieśni i tańca oraz szczuplejącą z roku na rok garstkę polskich kapłanów, nie mieli oni niczego, co podtrzymywać mogłoby ich samoświadomość. Młodzież wynaradawiała się, w małżeństwach mieszanym etnicznie regulą była asymilacja potomstwa /charakterystyczne, iż znacznie częstsze bywają wypadki rusyfikacji niż lituanizacji/. Polski duch zachował się w obronie "tutejszości" i w andrusowskiej przekorze proletariackiego Wilna. Paradozem historii naród ongiś przodujący tutaj kulturalnie zszedł do roli społecznego pariasa.

Tak było dotąd. Zakonserwowana przez czterdzieści lat polszczyzna poczuła się dziś nieco śmieiej. Słyszalnym głosem począł upominać się o jej prawa "Czerwony Sztandar", do niedawna typowy partyjny szmatławiec, okraszany co najwyżej wspomnieniami o Słowackim lub sprawozdaniami z działalności chóru "Wilia". Mocnym echem odbiła się akcja na rzecz zaprzestania praktyki lituanizacji polskich imion. Jan Ciechanowicz, prodziekan wydziału języków obcych wileńskiego Instytutu Pedagogicznego /pepiniery polskiej inteligencji/ w drukowanym w sierpniu felietonie porównał pozycję sowieckich Polaków ze statusem mieszkańców okupowanej Palestyny /"równa nam ilościowo, dyskryminowana mniejszość arabska"/, którzy mają jednak w Izraelu sześć niezależnych uniwersytetów... Oceniając zaś realizację kwietniowej uchwały republikańskiego KC, przyznającą Polakom prawo do swobodniejszego życia narodowego stwierdził, iż podczas tegorocznych egzaminów odsetek

wyrzuconych "poza burty" wyższych uczelni absolwentów szkół polskich był szczególnie wysoki. W tej sprawie stanowisko redakcji "Czerwonego Sztandaru" jest klarowne: Polacy powinni dążyć do osiągnięcia na wyższych uczelniach Litwy "numerum clausum", odpowiadającego procentowi polskiej populacji /7-8%/. Tylko wspomniany wyżej Instytut w tym duchu zinterpretował kwietniową uchwałę.

O kształt autonomii

W sytuacji gdy Litwini blokują powstanie na wileńskim uniwersytecie katedry polonistyki - chociaż katedry takie funkcjonują w Moskwie, Leningradzie czy Kijowie - postulowane przez K. Marcinkowskiego w poprzednim numerze "Sst" utworzenie własnego, polskiego uniwersytetu, wydawałoby się mrzonką. Jeśli tak jest w istocie, mamy do czynienia z mrzonką konieczną. Przykład piętnastowiecznego Lowanium /Leuven-Louvain/ w Belgii, położonego na styku kulturowym walońsko-flamandzkim, gdzie na skutek spięć narodowościowych w latach sześćdziesiątych dokonał się faktyczny podział tej katolickiej uczelni na dwa odrębne uniwersytety: flamandzki i francuski, który znalazł sobie miejsce w nowo wybudowanym ośrodku poza obrębem miasta, mówi nam o wspólnej, szacownej tradycji obu narodowych ośrodków akademickich. Nie jest w tej chwili najistotniejsze, czy murom czcigodnej Almae Matris Vilnensis miałyby patronować Stefan Batory, czy też Witold Wielki /chwilowo "honory czyni" komunista Mickevicius-Kapsukas/ i kto budowałby na podwileńskich rojstach nowy campus. Gród nad Wilią jest węzłem, od kilkuset lat krzyżującym kilka kultur i tradycji - starczyłoby ich z pewnością, aby ożywić ducha obu narodowych uczelni /patrz: niedokonana przedwojenna próba utworzenia we Lwowie uniwersytetu dla Ukraińców/. Polaków w Sowietach stać na to, aby już teraz zacząć proces tworzenia młodej, rodzimej inteligencji, choć początkowo nie obyłyby się to zapewne bez "importu" docentów znad Wisły. Oczywiście niezbędne byłoby tu co najmniej radykalne przeformułowanie istniejącego dotąd programu szkolnego. Z drugiej strony, aby szkolnictwo polskie w ZSSR, niezależnie zarówno od zsovietyzowanego programu, jak i od wpływów rusyfikacji czy lituanizacji, mogło spełniać swoje zadanie, konieczne jest właśnie erylowanie polskiej wyższej uczelni. Ta zaś, jeśli miałaby być uniwersytetem z prawdziwego zdarzenia, nie mogłaby służyć jedynie trzystu tysiącom litewskich Polaków. Wilno jest naturalnym ogniskiem, do którego ściągać powinni po oświatę we własnym języku Polacy spod Lidycz, Oszmiany, a także z Karagandy, czy Norylska. Jest to w pewnym sensie jedyny ratunek dla setek tysięcy naszych rodaków, rozproszonych po największym państwie świata. Brak polskich szkół poza Litwą należy jednak po części przypisać temu, że nie przyjmuje się tam polskich nauczycieli z dyplomami wileńskiego Instytutu Pedagogicznego: dyplomy te są jednak "nie z naszej republiki". Dopiero pracując na skalę potrzeb milionów, polska uczelnia mogłaby nawiązać do swych najlepszych tradycji doby kuratorium księcia Czartoryskiego.

Na koniec - wskreszenie USB mogłoby w istotnym stopniu załagodzić nabołały problem polsko-litewskiego sąsiedztwa na Wileńszczyźnie. Wszak to nie tylko sprawa oświaty - pod pojęciem Uniwersytetu Wileńskiego kryją się pokłady polskich emocji. Miejsce, gdzie stawał młodzieńcze kroki Mickiewicz było i jest ukochanym wyobrażeniem wielu Polaków, by wspomnieć chociaż o Piłsudskim, który na swą domową, wileńską ojczyznę uczył się patrzeć z pamiętającego czasy Śniadeckich dziedzińca "Pierwej Gimnazji".

Polacy, jako uznana z wiośną tego roku "mniejszość narodowa" dzierżą owo zaszczytne miano tuż przed Żydami, których jest na Lit-

wie 0,4% /swoją drogą ciekawe, jaki status mają tu Rosjanie - ok. 10% ogółu - czyżby "narodu panującego"?. Polaków jest jednak zbyt wielu i mieszkają oni jako zwarta grupa etniczna na zbyt dużym obszarze; by mieli się zadowolić na dłuższą metę wyłącznie autonomią kulturalną. W sposób oczywisty niezbędna jest im jakaś forma samorządu terytorialnego i tu od razu pojawia się problem języka urzędowego, który ostatnio wzburzył umysły wielu wilnian /"czy Polaka w urzędzie ma mówić po litewsku"/. Sztynne egzekwowanie formuły "języka państwowego" w wydaniu sowieckim nie rozwiąże problemu niezależnie od tego, jaka mowa awansowałaby do oficjalnej roli: albo Litwini będą faktycznie uciskali Polaków, albo po staremu obowiązywać będzie sowieto-rusyfikacja! Bliższe rozwiązaniu tego zagadnienia wydawałoby się przyjęcie na Wileńszczyźnie modelu urzędowej dwujęzyczności: litewskiej i polskiej. Cóż to jednak znaczy "na Wileńszczyźnie"? Obecnie na Litwie mówi się po polsku w rejonie^x sołecznickim /na południe od stolicy, około 90% ludności!/, wileńskim /nie obejmującym miasta Wilna, ponad dwie trzecie mieszkańców/, trockim i święciańskim /około jednej trzeciej ogółu/, oraz ignalińskim, szyrwinckim i orańskim. W samym Wilnie Polacy stanowią mniejszość, ocenianą na około 20% ogółu; być może jest ich więcej. Oficjalna dwujęzyczność winna zatem funkcjonować na opisanym powyżej obszarze. Można by też, kosztem nieznacznych korektur administracyjnych, objąć zasadniczy polski obszar językowy granicami pięciu rejonów: wileńskiego, sołecznickiego, trockiego, święciańskiego /dwa ostatnie podzielone językowo mniej więcej w połowie/ oraz ignalińskiego. Rejon ten, znany na Litwie z powodu lokalizacji tam siłowni jądrowej, ma na północy zwartą grupę polskiego osadnictwa, oddzieloną od rodzimej wyspy, skupionej wokół Wilna.

Można by wreszcie wyobrazić sobie wariant ostatni, optymalny, lecz mało realny w aktualnym układzie politycznym: polsko-litewski obszar na wschód od granicy z 1939 r. Objąłby on w zasadzie wszystkie wymienione tu językowo polskie tereny, przecinając na pół obecny rejon trocki: obecna delimitacja etniczna pokrywa się w znacznej mierze z przedwojenną granicą państwa polskiego. W wypadku zarówno drugiego jak i trzeciego rozwiązania na powstałym dwujęzycznym obszarze Polacy stanowiliby - poza Wilnem - około połowy ludności. Współgospodarzenie w warunkach pokojowych obu równych sobie liczbowo narodów, Litwinów i Polaków, stanowiłoby sui generis gwarancję nie podejmowania prób dominacji, a dwa języki na Wileńszczyźnie świadczyłyby o charakterze tej kresowej ziemi.

Razem, ale z kim?

Można zrozumieć polskie obawy, żywione wobec "Sajudisu" oraz dys-tans wobec ekspansywnych i agresywnych metod, jakimi posługuje się wyrosły spod ziemi litewski ruch narodowy, chociaż zjawiska te są zawsze nieodłącznym elementem przeróżnych politycznych erupcji i nie muszą mieć charakteru trwałego. Stanowczo nie należałoby sobie jednak życzyć, by wileńscy Polacy wpadli w objęcia bardzo podejrzanych "słowiańskich" sojuszników, broniących zagrożonego stanu posiadania w Przybałtyce, jak mówią. O tym, że takie niebezpieczeństwo rysuje się, świadczą doniesienia o powstałym niedawno "Socjalistycznym Ruchu na rzecz Przebudowy na Litwie 'Jedność'", pomyslanym jako przeciwwaga dla wpływów "Sajudisu". Sekundowanie Rosjanom w zwalczaniu budzącej się narodowej Litwy nie pomogłoby sprawie polskiej, niezależnie od wyników rosyjsko-litewskiej rozgrywki.

^x Podstawowe jednostki administracyjnego podziału ZSSR

Można wyrazić żal, że "Sajudis" swą dwuznaczną polityką wobec Polaków na Wileńszczyźnie nie przyczynia się do procesu niwelowania wzajemnych uraz, tak potrzebnego obu zniewolonym przez komunizm narodom. Polacy na Litwie, podobnie jak Litwini w Polsce, są w sytuacji strony słabszej i na Litwinów właśnie spada główna odpowiedzialność za rozwój stosunków z polskimi współmieszkańcami we własnym kraju. Polskiej "mniejszości" nie wystarczy jedynie tolerować czekając, aż za dwa-trzy pokolenia "powróci" ona na łono litewskiej rodziny. Polska obecność, polska kultura, są nad Niemnem zakorzenione zbyt silnie, aby wystarczyć im miały warunki wegetacji, a nie autentycznego rozwoju.

Czy konstatując niemożność - przynajmniej doraźną - polsko-litewskiego sojuszu oraz przestrzegając przed aliansem z Rosjanami nie skazujemy wileńskich Polaków na osamotnienie? Niezupełnie. Mają oni liczne, prawie czterdziestomilionowego sąsiada, którego głos w ich sprawie mógłby z pewnością niejednokrotnie być pomocny. Myślę oczywiście o nas samych. To od naszej pomocy zależy w dużej mierze obszar wolności, jaki przypadnie w udziale naszym rodakom.

Longin Szukiewicz

listopad 1988

A P E L

Zgromadzeni przy kościele o.o. Jezuitów w Łodzi, podczas uroczystości odsłonięcia Tablicy Niepodległości w dniu 13 listopada 1988 r., domagamy się:

- przywrócenia czterech oryginalnych tablic, obrazujących wysiłek zbrojny żołnierza polskiego podczas I wojny światowej i wojny z Rosją radziecką w latach 1918-1920 przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie,
- rzetelnego udokumentowania na tablicach przy Grobie działań zbrojnych wszystkich formacji Wojska Polskiego i Armii Podziemnej podczas II wojny światowej.

Niechaj Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie stanie się pantheonem chwały żołnierskiej dla wszystkich bez wyjątku, którzy przelewali krew w walce zbrojnej o niepodległość Ojczyzny.

Łódź dn. 13 listopada 1988 r.

...kraj podnieść, a przy tym osiągnąć własne cele...

Rozmowa z byłym prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej,
Edwardem Raczyńskim

"Samostanowienie": Panie Prezydencie. Nasze pokolenie - pokolenie, z którego wywodzą się uczestnicy grupy "Samostanowienie", zaczynało swój udział w życiu politycznym w końcu lat siedemdziesiątych od rozrzucania ulotek i malowania napisów na murach. Większość tego pokolenia zetknęła się z polityką dopiero w szeregach NSZZ "Solidarność". A jak zaczynał Pan Prezydent swój związek z polityką polską? Jaka była pierwsza styczność Pana Prezydenta z działalnością polityczną?

Edward Raczyński: Od lat najmłodszych orientowałem się w tym kierunku. Konieczność służby Polsce była dla mnie oczywista. Zawdzięczałem to rodzicom, a przede wszystkim matce, która do tego mnie wychowywała. Moje losy wyglądały na początku inaczej niż w przypadku większości moich rówieśników. Pochodziłem z poznańskiego - wychowywałem się wprawdzie w Krakowie, ale miałem świadomość metodycznego ucisku stosowanego przez Prusaków wobec społeczeństwa polskiego w Wielkopolsce. Byłem wtedy świadomy, że - wśród wszystkich nieszczęść zagrażających Polsce - ta presja germanizacyjna może doprowadzić do zupełnej narodowej klęski. I dlatego w roku 1914 poglądy Poznaniaków różniły się bardzo od poglądów mieszkańców Królestwa i Galicji. Sam projekt, sama myśl o stworzeniu armii polskiej przy boku państw centralnych wydawała się nam skandalem. I dlatego ja sam, jakkolwiek byłem nastawiony bardzo patriotycznie, byłem nieprzygotowany do nowej sytuacji. Nie należałem do żadnych działających wówczas aktywnie w Krakowie towarzystw. Przez to nie znalazłem się w legionach. Jako poddany austriacki podlegałem poborowi do armii austriackiej, ale z powodu bardzo silnej, wrodzonej wady wzroku służba wojskowa mnie ominęła. Dopiero pod koniec wojny zaciągnąłem się ochotniczo do wojska w Królestwie. Przyjmował mnie generał Berbecki. Prześlizgnąłem się wtedy, bo w ogóle uniknąłem badania wzroku i dzięki temu przyjęto mnie do szkoły podchorążych w Ostrowii Mazowieckiej. Był koniec wiosny, początek lata 1918

roku, w szkole znajdowało się grono polskich ochotników, ale pod rządami jeszcze niemieckimi. Dowódcą szkoły był generał Marian Kukiel, później znany historyk. Rządy niemieckie trwały krótko i w listopadzie już jako kapral rozbrajałem Niemców, odstawiałem ich na dworzec, z którego wyjeżdżali z Polski. Miałem święty zamiar zostać wojskowym, jakkolwiek byłem do tego bardzo niezdolny. Bardzo się obawiałem, w jaki sposób mógłbym spełnić swoje zadania na czele jakiegokolwiek oddziału, będąc takim ślepowym człowiekiem. Okazało się, że moje życie potoczyło się inaczej. Na wiosnę 1919 roku wysłano część naszej klasy ze szkoły podchorążych na prowincję, aby szkolili tam rekrutów, natomiast mnie wysłano do Berna w Szwajcarii, do polskiej placówki wojskowej. Tam zastała mnie nominacja na jednego z sekretarzy polskiego poselstwa w Kopenhadze. Znalazłem się w ten sposób, bez żadnego celowania w tym kierunku, w polskiej dyplomacji. Mogę dodać, że miałem oczywiście wykształcenie, bo miałem doktorat praw, który zdążyłem zrobić w czasie wojny i miałem za sobą jeden rok studiów w Londyńskiej Szkole Ekonomicznej, jeszcze przed wybuchem I wojny światowej. Przygotowanie do tego zawodu miałem więc na tyle dobre, na ile można je było wówczas mieć. Potem już nosiły mnie wypadki.

Sst: Czyli właściwie przypadek zadecydował o losach Pana Prezydenta?

ER: To nie był przypadek o tyle, że do czegoś podobnego się od najmłodszych lat przygotowywałem. Ale sam bieg sprawy był dla mnie przypadkowy. Gdy otrzymałem nominację, długo się wahałem, czy ją przyjąć, bo moją ambicją było zostać żołnierzem.

Sst: Przejdźmy do historii nieco nowszej. W swoich wspomnieniach "W sojusznym Londynie" pisze Pan, że podejmował Pan szereg działań i starań, żeby Polska wypowiedziała układ mniejszościowy. Dlaczego sprawa wypowiedzenia akurat tego układu była Pańskim zdaniem tak ważna?

ER: Nad uwolnieniem Polski od zobowiązań mniejszościowych pracowałem jeszcze w okresie, kiedy ministrem Spraw Zagranicznych był August Zaleski. Zastanawiałem się wtedy, jak tego dokonać w sposób mniej lub bardziej dyplomatyczny. Samo wypowiedzenie tego układu nie miało charakteru bezpośredniego wypowiedzenia. Polegało ono na tym, że Polska oświadczała, iż nie będzie współdziałała w wykonywaniu tych zobowiązań. Fakt, że pracowałem nad tą sprawą był oczywisty. Zobowiązania mniejszościowe zostały przyjęte przez Polskę wraz z podpisaniem Traktatu Wersalskiego pod presją mocarstw zachodnich, ale główną rolę w ich narzuceniu odegrały wpływy żydowskie. Żydzi obawiali się, że Polska będzie antysemitka i chcieli zabezpieczyć mniejszość żydowską w Polsce. W praktyce żadnych zażaleń żydowskich potem nie było. Natomiast z tego podpisanego przez nas dokumentu korzyści polityczne wyciągnęli wyłącznie Niemcy. Byliśmy ciągle traktowani jako podsądni. Polska występowała w Genewie niejako na dwóch płaszczyznach. Z jednej strony byliśmy uczestnikami Ligi Narodów i nawet dysponowaliśmy coraz większymi wpływami. Chociaż nie byliśmy formalnie członkami stałymi Rady Ligi Narodów, byliśmy członkami tak zwanymi "półstałymi", to znaczy, że Polska była wybierana na każdą kadencję. Byliśmy więc coraz ważniejszym członkiem Ligi Narodów, a z drugiej strony byliśmy ciągle atakowani i traktowani jako podsądni. Całkowicie metodycznie, bez żadnego oczywiście odniesienia do względów humanitarnych, zawsze wyszukano rzekomo prześladowanych Niemców, czy to w Wielkopolsce, czy na Pomorzu,

czy na Śląsku, a jak sprawy nie było, to już władze niemieckie się postarały, żeby ją stworzyć. Traktat mniejszościowy w pewnej mierze obniżał nasz prestiż, nasze możliwości, nasze wpływy polityczne, trzymał nas w jakiejś specjalnej kategorii. Dla Niemców była to kategoria "Saisonstaat" - państwa sezonowego. Jak już mówiłem, zaczynałem od Kopenhagi, potem byłem w Londynie, po odwołaniu z Londynu i kilku latach pracy w centrali w Warszawie wysłano mnie do Genewy jako delegata Polski przy Lidze Narodów. Na zebrania Rady Ligi Narodów przyjeżdżali ministrowie spraw zagranicznych, a ja pilnowałem polskich interesów przez cały okrągły rok. Poważną częścią moich zadań była obrona Polski przed tym trybunałem. Zacząłem więc prace w kierunku uwolnienia Polski od wspomnianych zobowiązań. Na początek przyjęliśmy taką samą zasadę, jaką Niemcy stosowali w sprawach rozbrojenia. Zaraz na początku mojego urzędowania, w 1932 roku, odbywała się w Genewie konferencja rozbrojeniowa. Niemcy - rozbrojeni po I wojnie światowej - bronili tam zasady generalizacji: mówili - jak rozbrojenie, to dla wszystkich. Prawa dla wszystkich i zobowiązania dla wszystkich. Wykorzystałem tę zasadę w sprawie zobowiązań mniejszościowych. Mówiłem o tym w licznych przemówieniach i podnosiłem przy innych okazjach, postawiłem tę sprawę do rozstrzygnięcia przez Ligę Narodów. Pytałem: dlaczego zobowiązania mniejszościowe mają obowiązywać tylko nas, a nie inne kraje, które także mają mniejszości i często w stosunku do nich nie są sprawiedliwe - w pierwszym rządzie Niemcy, które miały przecież kilkuset tysięcy mniejszość polską na Śląsku, miały Fryzów i inne mniejszości. Pod koniec mojego urzędowania w Lidze brałem czynny udział w debacie, podczas której domagałem się generalizacji zobowiązań mniejszościowych. Sam pisałem do Warszawy, informowałem ministerstwo o sytuacji i wysuwałem różne projekty rozwiązania tego zagadnienia. Przez pewien czas nie miałem odpowiedzi. Dopiero sprawa dopuszczenia Sowieców do Ligi Narodów wywołała szybką reakcję. Nasz rząd zrozumiał, że pojawi się teraz nowy członek Ligi, który będzie mógł wyzyskać te możliwości przeciw Polsce. Był to rok 1933. Na Zgromadzenie Ligi przyjechał minister Beck i zaprosił mnie na spacer łódką po Jeziorze Genewskim, dla pełnego bezpieczeństwa. Tam powiedział mi, że rząd polski gotów jest uwolnić się od zobowiązań, zastrzegając absolutną tajemnicę i poprosił mnie o przygotowanie tej sprawy.

Sst: Był to więc wielki sukces Pańskiej polityki.

ER: W każdym razie przyczyniłem się do tego. Do tajemnicy wciągnąłem tylko jednego człowieka, członka mojej delegacji, późniejszego radcę prawnego p. Krzysztofa Górskiego. Górski był bardzo dobrym prawnikiem i był mi bardzo pomocny. Myśmy wymyślili tą formułę: minister na zebraniu Zgromadzenia Ligi Narodów oświadczył, po szczegółowym uzasadnieniu, że rząd polski nie będzie uczestniczył w rozpatrywaniu skarg wniesionych do Ligi Narodów z tytułu zobowiązań mniejszościowych. Było to właściwie wypowiedzenie traktatu, ale w formie trochę grzeczniejszej. To oświadczenie wywołało w pierwszej chwili wielką zgrozę, ale w krótkim czasie zostało "skonsumowane". Podsumowując: cała sprawa mniejszościowa miała charakter polityczny. Nie chodziło tam o humanitarną ochronę przesładowanych biedaków, tylko była to jedna z metod polityki stosowanej przeciwko Polsce, polityki wtrącania się w sprawy polskie.

Sst: Cała książka Pana Prezydenta "W sojusznicy Londynie" jest fascynującą, a zarazem bardzo przygnębiającą kroniką wtrącania się naszych aliantów w sprawy polskie. Alianci próbowali kształtować naszą politykę w kierunku, który byłby zgodny z ich interesami, a nie z interesami Polski. W jakim stopniu podziały między Polakami ułatwiały aliantom wtrącanie się w sprawy Polskie? Czy polityka polska mogła być skuteczniejsza, gdybyśmy nie dawali sojusznikom okazji do wykorzystywania podziałów między nami?

ER: Nie mam takiego przekonania. W świetle wypadków nie sądzę, aby Polacy więcej mogli zdziałać. Polacy, mimo wszystko, zdobyli się na olbrzymi wysiłek, 80 tys. żołnierzy polskich we Francji w 1940 r., udział Polaków w bitwie o Anglię, polska dywizja pancerna, II Korpus itd.; udział Polski w tej wojnie był nadzwyczajny i przekonujący. Oczywiście, swary polskie były bardzo szkodliwe, demoralizowały i przyczyniały się do psucia nastrojów. Zarzuty wobec rzekomo winnych klęski Polski w kampanii wrześniowej nie były oparte na niczym, a czasami chodziło o zemstę za poprzedni okres. To było dla nas bardzo szkodliwe i osłabiające. Ale jeżeli chodzi o wpływ na zewnątrz, o udział Polski w tej wojnie, o prawa Polski w tej wojnie, tu musimy sprawiedliwie powiedzieć, że zrobiliśmy tak wiele, byliśmy tak widoczni, to było tak przepiękne i wspaniałe, że jeżeli nawet to nie dało rezultatu, to dlatego, że ten rezultat był do osiągnięcia bardzo trudny. Mieliśmy do czynienia nie tyle ze złą wolą naszych sojuszników, co z ich błędami. Błędy popełniali w najważniejszych momentach. Na przykład po ataku Hitlera na Sowiety w czerwcu 1941 r. był odpowiedni moment, żeby Stalina "przyduścić" i uzyskać jakieś gwarancje. Tymczasem Anglicy zawiedli, bo byli tak uszczęśliwieni, że mają nowego sojusznika, że z sytuacji prawie beznadziejnej będą mogli przejść do ofensywy. Tak więc nasi sojusznicy w najważniejszych momentach zawodzili, a później byli już w dużej mierze bezradni. Do tego oczywiście się nie przyznawali, ale dzisiaj - w świetle wypadków - można powiedzieć, że pod koniec wojny mogli nas bronić i w niejednym nam mogli jeszcze pomóc, ale w istocie środków skutecznego nacisku już nie mieli. Podczas konferencji w Jałcie alianci czuli, że wojna się kończy, że ich społeczeństwa mają już wojny dość, że starcie się z Rosją w sprawie Polski byłoby nie do wymuszenia na własnych społeczeństwach. Niepopularność sprawy polskiej była w dużym stopniu ich własnym dziełem. Chcąc utrzymać jedność aliansu, pisma zachodnie wciąż chwaliły Armię Czerwoną i przedstawiały Sowiety w korzystnym świetle, co wytworzyło atmosferę prosowiecką.

W tym miejscu chciałbym dodać jeszcze jedno. Bardzo nam szkodziło i było bardzo wielką naszą stratą usunięcie Sikorskiego. Sikorski zdobył sobie dobrą pozycję na Zachodzie. Miał reputację dobrego demokraty. Przeprowadził układ polsko-sowiecki wbrew części opinii polskiej. Nie szła za nim opinia jakiegoś wroga Rosji, Sowieta. Traktowanie Polaków jako grupy faszystów i reakcjonistów byłoby bardzo utrudnione, gdyby żył Sikorski. Nie wiem, czy jego obecność pod koniec wojny przyniosłaby rezultaty, ale on jedyny miał stosunkowo mocne stanowisko wobec aliantów i wobec Sowieta. Dlatego też wypadek, w którym zginął Sikorski, skłonny jestem traktować jako sabotaż. Nie mam na to dowodów, ale wiadomo, kto miał największą korzyść z usunięcia Sikorskiego.

Sst: Propaganda komunistyczna od lat przekonuje Polaków, że to sami

- Anglicy usunęli Sikorskiego, bo był dla nich niewygodny.
- ER: Doskonale znam te sprawy, więc mogę odpowiedzieć. Sikorski dla Anglików był "zbawczym" człowiekiem przy załatwianiu sprawy polskiej. Anglicy wiedzieli, że Sikorski - wielki zresztą patriota polski - był realistą i z ciężkim sercem, ale dałby się skłonić do ustępstw - może nawet terytorialnych - na wschodzie. Jakich ustępstw - to jeszcze pytanie. Anglicy wiedzieli, że Sikorski - chociaż bardzo odważny - nie był typem człowieka, który woli zginąć niż ustąpić. Wyczuwali, że naciski polityczne na niego są w pewnej mierze możliwe. Z drugiej strony wiedzieli także, że Sikorski cieszy się takim uznaniem w Polsce, że on jeden mógłby przekonać Polaków do ustępstw. Sikorski był dla Anglików jednym z bardzo nielicznych atutów w sprawie polskiej. Śmierć Sikorskiego była nie tylko wielką klęską dla nas, ale była wielką stratą dla aliantów. Dla Stalina rachunek był wręcz odwrotny. Sikorski miał opinię demokracji, trudno z niego było zrobić fałszywą. Był gotów do pewnych poświęceń na rzecz ugody, a Stalin żadnych poświęceń sobie nie życzył, bo chciał całą Polskę dostać w swoje łapy. Jeżeli komuś Sikorski bardzo zawadzał, to tylko Stalinowi. Stalin był na tyle brutalny i na tyle zbrodniczy, a równocześnie politycznie daleko patrzący, że usunięcie Sikorskiego było z jego punktu widzenia potrzebne. Jeden szczegół dochodzi obecnie do tej interpretacji. Okazało się, że w służbie brytyjskiej byli agenci sowieccy. Był tam Kim Philby. Poznałem kiedyś jego ojca, podczas misji do Arabii. Kim Philby żyje do tej pory w Moskwie. Stał on na czele oddziału "dwójki" angielskiej, która obejmowała Gibraltarczycy. Nie wiem, czy to nie jest polska spekulacja - wprowadzać w to Philby'ego, bo może są inne wytłumaczenia. Nawet ambasador sowiecki w Londynie, Majski, był w Gibraltarczycy akurat w tym czasie, kiedy zginął Sikorski. Ja przypuszczam, że Majski mógł nic o tej sprawie nie wiedzieć, bo co innego "dwójka", a co innego oficjalne przedstawicielstwo.
- Sst: Przejdźmy teraz może do powojennego okresu działalności politycznej Pana Prezydenta. Mam taką osobistą refleksję. Pierwsze w miarę rzetelne informacje na temat Rządu RP na Uchodźstwie dotarły do mnie w końcu lat siedemdziesiątych. Rozmawiałem wtedy z jednym z moich przyjaciół, który odgrywał dużą rolę w opozycji tzw. "korowskiej". Na moją uwagę, opartą na wiedzy pochodzącej z prasy komunistycznej, że ośrodek londyński jest bardzo podzielony, on mi odpowiedział, że nie jest to już prawda, ponieważ dzięki Panu Prezydentowi Raczyńskiemu doszło do zjednoczenia tego ośrodka i emigracji niepodległościowej w Londynie, i teraz emigracja będzie odgrywała coraz większą rolę. Jak Pan Prezydent widzi swój udział w wielkim dziele zjednoczenia emigracji, dzięki któremu Rząd RP zyskuje coraz większą popularność w kraju? Dopóki ośrodek legalistyczny był podzielony, nie mógł z natury rzeczy być uważany w kraju za autorytet w sprawach politycznych.
- ER: Moje wysiłki szły zawsze w kierunku zgody, a nie rozbicia. Zaognienie szczególnie bolesne trwało tak długo, jak długo żył August Zaleski. Należałem do tych, którzy bez namiętności, bez jakiegokolwiek prywaty, bez osobistych pretensji reprezentowali myśl o jedności. Jeszcze za życia pana Zaleskiego były podejmowane kilkakrotne próby zjednoczenia obu obozów. Brałem w tych próbach udział. W ostatniej chwili zawsze zawodziły. Bardzo pozytywną rolę odegrał gen. Sosnkowski. Przyjechał do Londynu i

doprowadził do tak zwanego Aktu Zjednoczenia. Ogromna większość Polaków ten Akt poparła. Niestety, pan Zaleski - pomimo wstępnych pozytywnych zapowiedzi - w ostatniej chwili Akt Zjednoczenia odrzucił i uniemożliwił porozumienie. Dopiero po jego śmierci dość szybko osiągnęliśmy zgodę.

Sst: Czy na zakończenie naszej rozmowy chciałby Pan Prezydent powiedzieć coś dla czytelników "Samostanowienia" w kraju?

ER: Jestem pełen podziwu dla tej pięknej młodzieży, która w Polsce działa. Bardzo cierpię nad tym, w jakich warunkach się w kraju żyje i rozumiem, że ta młodzież ma bardzo słabe przed sobą widoki. Ale mogę tylko jedno powiedzieć, że nawet bez osiągnięcia pełnej niepodległości i suwerenności można pracować dla kraju i można go wzmacniać. Kraj, który się podnosi pod względem naukowym, gospodarczym, artystycznym, prawnym, czy nawet, kiedy ludzie uczciwie poprawiają sytuację własną - kraj taki, chociaż nie uzyska celu, do którego dąży, nabiera sił. Każdy wysiłek, który młoda generacja podejmuje, ażeby ten kraj podnieść, a przy tym osiągnąć własne cele, jest z korzyścią dla Polski. Myślę, że ten stan obecny nie będzie trwał bez końca, że na pewno zbliżamy się - nie wiadomo w jakim tempie - do nowej epoki. Jest duża zmiana w stosunku do tego, co przeżywalismy czterdzieści lat temu, zmiana na arenie politycznej i w światowym układzie sił. I dlatego marzy mi się poprawa w kraju, który znalazł się w sytuacji tak niesłychanie ciężkiej.

Sst: Dziękuję Panu Prezydentowi za rozmowę.

Edward Raczyński urodził się 19 grudnia 1891 roku w Zakopanem. Po ukończeniu Liceum Króla Jana Sobieskiego w Krakowie studiował na Uniwersytecie w Lipsku i w Szkole Ekonomicznej w Londynie. W roku 1919 podjął służbę w dyplomacji odradzającego się Państwa Polskiego pracując kolejno w Kopenhadze, Londynie i w Warszawie. 1 listopada 1934 roku Edward Raczyński został mianowany ambasadorem RP w Londynie i pozostał na tym stanowisku do 5 lipca 1945 r., a więc do chwili wycofania uznania dla rządu RP przez Wielką Brytanię. Nie rezygnując z funkcji ambasadora od roku 1941 objął kierownictwo resortu spraw zagranicznych w rządzie Władysława Sikorskiego. W pierwszych latach po wojnie Edward Raczyński położył duże zasługi w organizowaniu życia emigracji. Od 1951 r. pełnił funkcję Prezesa Rady Federalistów Polskich. W 1954 r. wraz z gen. Władysławem Andersem i gen. Tadeuszem Borem-Komorowskim utworzył tzw. Radę Trzech stawiającą sobie za zadanie koordynację działalności politycznej polskiej emigracji. 8 kwietnia 1979 r. Edward Raczyński objął urząd Prezydenta RP na Uchodźstwie. W 1986 roku zakończyła się kadencja VII Prezydenta RP na Uchodźstwie stanowiąca ukoronowanie 67-letniej działalności dyplomatycznej Edwarda Raczyńskiego w służbie Polsce Niepodległej.

Z życia emigracji

Od 5 do 10 września 1988 r. w ośrodku polskim w Fawley Court pod Londynem odbyła się konferencja Delegatów Rządu RP na Uchodźstwie. W konferencji wzięli udział Delegaci z 13 krajów wolnego świata. Centralnym tematem konferencji było położenie społeczeństwa w kraju i dopomożenie mu w odzyskaniu wolności. W tej działalności, akcentującej pozytywną pracę na rzecz samostanowienia Narodu, należy liczyć nie tylko na "starą" emigrację polityczną, ale też i na nową, która jest w większości "potencjalnie polityczna", pomimo różnych motywów, które skłoniły ją do opuszczenia kraju. Podkreślono konieczność popularyzacji w kraju struktur politycznych na uchodźstwie. Mówiono o włączaniu się, w miarę możliwości, w dyskusje nad bieżącymi zagadnieniami kraju poprzez krajowe ruchy wolnościowe, zwłaszcza młodego pokolenia, popierając je we wszelki możliwy sposób. Ustosunkowując się sceptycznie do tzw. "naprawiaczy" systemu komunistycznego zwrócono uwagę na specyficzne trudności prawnopolityczne "Solidarności", która również wymaga pełnego poparcia emigracji.

Drugim głównym tematem obrad była działalność emigracji na terenie międzynarodowym. Obok interwencji ogólnopolitycznych, akcentujących bezprawność władzy narzuconej Polsce przez Sowiety, praca Rządu RP na terenie międzynarodowym dotyczy pomocy gospodarczej, medycznej i kulturalnej bezpośrednio dla społeczeństwa w kraju, a nie dla panującego reżimu. W dążeniach niepodległościowych emigracja stara się ściśle współpracować z emigracją sąsiednich narodów ujarzmionych przez Sowiety, odkładając sprawę granic do odzyskania suwerenności przez nich i przez nas.

Pewne trudności w stosunkach z narodami Europy Środkowo-Wschodniej na obczyźnie są spowodowane rozbitciem ich organizacji politycznych i brakiem odpowiednich partnerów dla Rządu RP w postaci ciągłych struktur państwowych. Łatwiejsze są kontakty społeczno-kulturalne i te należy pielęgnować z myślą, że przyczynią się one do współpracy politycznej. W pracy tej należy też ciągle pamiętać o ok. 4 milionach Polaków w Związku Sowieckim i dopominać się o ich prawa do zachowania i rozwoju własnej kultury narodowej.

W ramach sesji poświęconej sprawom międzynarodowym odbyło się sympozjum brytyjsko-polskie. Udział wzięli: Norman Davies, profesor historii Polski na uniwersytecie londyńskim, Leszek Kołakowski, profesor filozofii w Oksfordzie, Norman Raddaway, były ambasador brytyjski w Warszawie, prof. Leopold Łabędź, redaktor sowietologicznego pisma "Survey" i prof. Zygmunt Szkopiak, minister spraw zagranicznych w Rządzie RP na Uchodźstwie, a także przedstawiciele Foreign Office, BBC i prasy. Prof. Davies, mówiąc o prawdopodobnie nieodzwonnej brytyjskiej i innej zewnętrznej pomocy w wyjściu z polskiego kryzysu, zwrócił uwagę na semantyczne różnice w rozumieniu niektórych pojęć. Podkreślił, że wolność, niepodległość i suwerenność co innego znaczą na Zachodzie, a co innego w Polsce. Prof. Kołakowski wyraził sceptycyzm co do wiarygodności reżymowych rozmówców, zarówno z cudzoziemcami, jak i z rodakami, zwłaszcza z Wałęsą. Prof. Szkopiak mówił o Jalcie, symbolu opuszczenia Polski przez wojennych sprzymierzeńców i pozostawienia jej na pastwę Związku Sowieckiego. Przypomniał, że na Wielkiej Brytanii ciąży szczególny dług w stosunku do Polski. Jest ona winna cynicznej zgody na to, by o losie Polski decydowały tzw.

wybory - i to w okolicznościach, które wolne wybory wykluczały. Prof. Łabędź wyraził wątpliwości co do sensu wizyty pani Thatcher w Polsce. W dyskusji podkreślono konieczność ideologicznych, politycznych, społecznych i gospodarczych zmian w Polsce do wyzwolenia ludzkiej energii do odbudowy kraju.

xxx

Miesięcznik "Rzeczpospolita Polska", organ Rządu RP na Uchodźstwie, zamieścił apel Adama Winklera, uczestnika walk w Afganistanie. Po nakreśleniu aktualnej sytuacji w Afganistanie Adam Winkler zwrócił się do czytelników "Rzeczpospolitej Polskiej": "W tej sytuacji - wobec braku informacji o tym, co naprawdę dzieje się w Afganistanie i jednocześnie wobec narastającej dezinformacji nie tylko w polskich reżimowych środkach przekazu, ale także w zachodnich - w radio, prasie i telewizji - niezbędna jest w Afganistanie obecność obserwatora polskiego, rzecznika opozycji polskiej, którego zadaniem byłaby m.in. współpraca z afgańskim ruchem oporu i informowanie o rzeczywistym przebiegu sytuacji w tym kraju. Walczący Afganistan liczy na naszą pomoc. W związku z tym zwracam się do wszystkich instytucji i osób prywatnych o pomoc finansową na pokrycie kosztów wyjazdu polskiego wysłannika do Afganistanu..."

Copyright by "Samostanowienie".
Przedruk dozwolony z podaniem źródła.
Druk: Wydawnictwo BAZA.

Do bieżącego numeru "Samostanowienia" dołączony jest projekt Statusu Krajowego Oddziału Rady Narodowej. Kontynuujemy w ten sposób dyskusję rozpoczętą opublikowaniem ankiety na temat KORNw 6 numerze naszego kwartalnika.

Numer zamknięto 5 grudnia 1988 r.

Z powodu inflacji cenę ustala kolportaż.

Komunikat prasowy

Grupy Politycznej "Samostanowienie"

Na wtorkowej konferencji prasowej 18 X 1988 r. rzecznik rządu PRL Jerzy Urban wypowiedział się na temat rzekomych awansów oficerskich, dokonanych przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie. Ponieważ ten właśnie Rząd G.P. "Samostanowienie" uważa za legalny, konstytucyjny rząd polski /a nie oparty na stalinowskiej konstytucji z 1952 r. i nigdy nie zaakceptowany przez społeczeństwo w wolnych wyborach rząd PRL/, zatem uzupełniamy wiadomości, które Urban przedstawił co najmniej nieprecyzyjnie.

1. Tytuł generalski ks. B. Wituckiego i tytuł pułkownika ks. Jankowskiego pochodzą z nadania szkodliwego szaleńca, mieszkającego w USA, Juliusza Sokolnickiego, który mieni się prezydentem "Wolnej Polski", nie zaś od londyńskiego Rządu RP na Uchodźstwie. Sokolnicki, skompromitowany w Wlk. Brytanii, przeniósł się ze swoją działalnością do Stanów Zjednoczonych, gdzie był postacią mniej znaną.
2. Supozycja Urbana, iż Polakom brakuje możliwości otrzymywania tytułów arystokratycznych, nie jest słuszna. Wymieniony Juliusz Sokolnicki zaczął tytułować się "hrabią", by później stać się "księciem". W stosunku do innych też jest szczodry: zainteresowanych informujemy, że przyznaje przywilej używania przed nazwiskiem tytułu "sir".
3. Nadawanie przez Sokolnickiego zamieszkałym w Polsce zasłużonym osobistościom imitacji odznaczeń sięgnęło najwyższych klas orderu Polonia Restituta. Warto jednak wiedzieć, że za granicą nadał on jeszcze wyższe odznaczenia. Tak np. kolejny rosyjski car-samozwaniec otrzymał od niego Wielki Order Orła Białego.
4. Rząd RP, bezpośredni prawny i polityczny kontynuator pierwszego emigracyjnego rządu gen. Sikorskiego, utworzonego w październiku 1939 r., oszczędnie udziela odznaczeń państwowych, tak jak było to praktykowane w czasie wojny. O odznaczeniach informujemy w kwartalniku "Samostanowienie", szczególnie kiedy dotyczy to osób zamieszkałych w kraju.
5. Rząd PRL w latach czterdziestych-siedemdziesiątych nie kwestionował odznaczeń wojennych i weryfikował stopnie wojskowe żołnierzy AK i PSZ na Zachodzie, wystawiane wówczas przez "kompetentne władze". Kompetentne władze, czyli Rząd RP na Uchodźstwie, zaprzętały już dawno awansów generalskich, a awanse oficerskie, które do niedawna jeszcze miały miejsce, dotyczyły weryfikacji okresu wojennego. Natomiast niekompetentne wobec zwalczanych ongiś przez siebie akowców władze PRL nadal dokonują awansów generalskich spośród oficerów AK w stanie spoczynku. Ma to dokładnie ten sam wydźwięk, co fakt nadania przez Juliusza Sokolnickiego wojskowych rang gdańskim duchownym.

Warszawa, 21 października 1988 r.